



*Wszystkie  
kwiaty  
Alice  
Hart*

HOLLY  
RINGLAND

MARGINESY

*Wszystkie  
kwiaty  
Alice Hart*

**HOLLY  
RINGLAND**

PRZEŁOŻYŁA  
EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

**MARGINESY**

Kobietom, które wątpią  
w wartość i siłę swojej historii.

Mojej mamie, która rzuciła  
wszystko, żeby dać mi kwiaty.

I Samowi, bez którego marzenie  
mojego życia pozostałoby niespisane.

*The Lost Flowers of Alice Hart*

COPYRIGHT © Holly Ringland, 2018

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY  
Ewa Penksyk-Kluczkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018







# Spis kwiatów

1. Czarna orchidea ognista	11	16. Gorzki groszek kolcolistny	205
2. Kwiatki flanelowe	23	17. Banksja okazała	219
3. Kocanka lepka	35	18. Wajcja pomarańczowa	230
4. Chaber australijski	49	19. Pertowy stonokrzak	243
5. Piórokwiat malowany	56	20. Grevillea miodna	256
6. Miętownik paskowany	71	21. Groszek pustynny	267
7. Żółte dzwonki	82	22. Spinifeks	282
8. Lilia waniliowa	92	23. Mirtowrzos pustynny	292
9. Psianka fioletkowa	108	24. Parakilia szerokolistna	307
10. Bursaria ciernista	122	25. Dąb pustynny	323
11. Lilia rzeczna	136	26. Klonik białopłatkowy	341
12. Żłota akacja	151	27. Korolodrzew nietoperzowaty	356
13. Miedzianka	161	28. Krotalaria Cunningama	375
14. Eukaliptus kamaldulski	181	29. Lisi ogon	387
15. Storczyk Błękitna Pani	191	30. Ogniste drzewo	394



Z męczennicy u podwoi, na kurz,  
Spłynęła najpiękniejsza łza.  
Idzie ona, moja przystań wśród burz,  
Los mój, ta, która wiecznie trwa;  
Krwawa róża szlocha: „Jest tuż, jest tuż”;  
„Spóźnia się”, biała róża łka;  
Skowronek kwili: „Słyszę ją już”;  
A lilia szepcze: „Czekam i ja”.

*Alfred Lord Tennyson*

## Czarna orchidea ognista

ZNACZENIE **Pragnienie posiadania**  
*Pyrorchis nigricans* | AUSTRALIA ZACHODNIA

*Do zakwitnięcia potrzebuje ognia. Kielkuje z bulwy, która może pozostawać w spoczynku. Ciemnokarmazynowe paseczki na jasnym tle. Po przekwitnięciu cała roślina czernieje, wygląda jak zwęglona.*

W drewnianym domu na końcu drogi dziewięcioletnia Alice Hart siedziała przy biurku pod oknem i zastanawiała się, jak spalić swojego ojca.

Przed nią na blacie leżała otwarta książka. Zebrano w niej związane z ogniem opowieści i mity z całego świata. Chociaż znad Pacyfiku dął północno-wschodni wiatr przesiąknięty słoną wodą, Alice czuła zapach dymu, ziemi i płonących piór. Czytała szeptem:

*Feniks zanurza się w ogniu, żeby pochłonęły go płomienie. Ma się spalić na popiół i powstać odrodzony, przeobrażony – taki sam, a jednocześnie inny.*

Alice trzymała palec nad ilustracją przedstawiającą powstającego feniksa: jego srebrnobiałe pióra lśniły, skrzydła były rozpostarte, łeb mocno odchylony do krzyku. Cofnęła szybko rękę, jakby języki złoto-czerwono-pomarańczowych płomieni mogły przypalić jej skórę. Przez okno wpłynęła świeża fala zapachu wodorostów, dzwonki w matczynym ogrodzie ostrzegły, że wiatr przybiera na sile.





Przechylając się nad blatem eukaliptusowego biurka, które zrobił dla niej ojciec, Alice zamknęła okno tak, że zostawiła tylko szparę. Odsunęła książkę, nie odrywając wzroku od ilustracji, i sięgnęła po talerz z tostem, który przygotowała kilka godzin temu. Wbiła zęby w posmarowany masłem trójkąt i żuła powoli zimne pieczywo. Jak by to było, gdyby jej ojca pochłonął ogień? Wszystkie jego potwory spłonęłyby na popiół i zostałoby z niego to, co najlepsze. Odrodziłby się w płomieniach i powstałby z nich ten mężczyzna, którym czasami był: mężczyzna, który zrobił dla niej biurko, żeby mogła przy nim pisać historie.

Alice zamknęła oczy i wyobrażała sobie przez chwilę, że pobliski ocean, którego huk wdzierał się przez okno, jest morzem rozszalałego ognia. Może zdołałaby wepchnąć weń ojca, żeby go ten ogień pochłonął niczym feniksa z książki? A gdyby się wyłonił, potrząsając głową jak człowiek wybudzony ze złego snu, i otworzył przed nią ramiona? „Cześć, Króliczku” – powiedziałby na przykład. A może by tylko gwizdnął z rękoma w kieszeniach i uśmiechniętymi oczami. Może Alice już nigdy by nie zobaczyła, jak te niebieskie oczy robią się czarne od gniewu, nie patrzyłaby, jak jego twarz staje się blada, jak ślina zbiera się w kącikach ust, tworząc pianę białą jak jego skóra. Mogła się całkowicie skupić na czytaniu o tym, skąd wieje wiatr, albo wybierać książki w bibliotece, albo pisać przy biurku. Przemieniony przez ogień ojciec dotykałby brzemiennego ciała matki już tylko delikatnie. Dłonie, którymi sięgałby do córki, zawsze byłyby łagodne i troskliwe. A przede wszystkim tuliłby dziecko, gdy już przyjdzie na świat, i Alice nie leżałaby bezsennie, zastanawiając się, jak chronić swoją rodzinę.

Zatrzasnęła książkę. Głuchy odgłos rozszedł się po drewnie biurka, które zajmowało całą ścianę jej pokoju. Stało pod dwoma dużymi oknami wychodzącymi na ogród pełen

adiantum, płaskli i jaskółczych ogonów, którymi jej matka się zajmowała w chwili, gdy zmogły ją mdłości. Dzisiaj rano sadziła właśnie kangurzą łapę, ale zgięła się w pół i poleciała w paprocie. Alice czytała wtedy przy biurku; słysząc, że matka wymiotuje, wyszła przez okno i wylądowała na grządce z paprociami. Nie wiedząc, co robić, mocno trzymała mamę za rękę.

– Nic mi nie jest. – Kobieta zakaszłała i ścisnęła dłoń córki, zanim ją puściła. – To tylko poranne mdłości, Króliczku, nie martw się. – Odchyliła głowę, by złapać trochę powietrza, a wtedy blade włosy zsunęły się z twarzy, odsłaniając nowy siniak, fioletowy jak morze o świcie, otaczający pęknięcie na delikatnej skórze za uchem. Alice nie zdążyła odwrócić wzroku.

– Och, Króliczku. – Matka, przejęta, dzwignęła się na nogi. – Nie uważałam, jak się krzątałam po kuchni, i upadłam. Od tego dziecka kręci mi się w głowie. – Jedną rękę położyła na brzuchu, drugą zdejmowała grudki ziemi z ubrania. Alice wpatrywała się w młode paprocie zduszone pod ciężarem matki.

Niedługo później rodzice odjechali. Alice stała przy drzwiach, aż obłoczek dymu z ojcowskiej ciężarówki zniknął w błękicie poranka. Jechali do miasta na następne badanie dziecka; w ciężarówce były tylko dwa siedzenia. „Bądź grzeczna, kochanie” – błagała matka, muskając ją w policzek ustami. Pachniała jaśminem. I strachem.

Alice wzięła kolejny trójkąt zimnego tosta i trzymając go w zębach, sięgnęła do torby bibliotecznej. Obiecała mamie, że będzie się uczyć do egzaminów czwartoklasisty, ale na razie test, który przysłała pocztą szkoła korespondencyjna, leżał w nieotwartej kopercie na biurku. Gdy wyjęła książkę i przeczytała jej tytuł, rozdziawiła usta. Egzamin całkowicie wyleciał jej z głowy.

W przyćmionym świetle nadciągającej burzy tłoczona okładka *Przewodnika po ogniu dla początkujących* wydawała się niemal żywa. Błyskawica migotała w metalicznych płomieniach. Alice poczuła w trzewiach coś niebezpiecznego i fascynującego. Dłonie miała lepkie. Ledwie dotknęła palcami rogu okładki, gdy za jej plecami zabrzęczały identyfikatory na obroży Toby'ego, jakby za sprawą jej roztrzęsionych nerwów. Pies trącił jej nogę, zostawiając wilgotną smugę na skórze. Alice się uśmiechnęła, gdy Toby usiadł grzecznie. Dobrze, że coś jej przerwało. Podała psu tosta, a on ostrożnie wziął go w zęby, po czym się cofnął, by go pożreć. Psia ślina skapnęła jej na stopy.

– Fuj, Tobes – powiedziała, tarmosząc mu uszy. Podniosła kciuk i pokiwała nim z boku na bok. W odpowiedzi Toby zamiótł ogonem podłogę tam i z powrotem. Podniósł łapę i położył ją na jej nodze.

Alice dostała Toby'ego od ojca, stał się jej najbliższym towarzyszem. Jako szczeniak o jeden raz za dużo ugryzł ojca w nogę, a ten cisnął nim o pralkę. Potem nie zgodził się jechać do weterynarza i Toby już na zawsze pozostał głuchy. Gdy Alice zrozumiała, że jej przyjaciel nie słyszy, stworzyła dla nich tajemny język gestów. Znowu pokiwała do niego palcem, żeby mu powiedzieć „dobry pies”.

Toby przejechał jęzorem po jej policzku, a ona roześmiała się z obrzydzeniem, wycierając twarz. Zatoczył kilka kółek i ciężko usiadł obok niej. Nie był już mały, wyglądał raczej jak szarooki wilk niż pies pasterski. Alice wsunęła gołe palce stóp w jego długą puszystą sierść. Ośmielona jego towarzystwem otworzyła *Przewodnik po ogniu dla początkujących* i szybko dała się wciągnąć pierwszej historii.

*W dalekich krajach, takich jak Niemcy i Dania, ludzie za pomocą ognia wypalali to, co stare, i przyciągali to, co nowe, witali*

*kolejny początek cyklu: porę roku, śmierć, życie czy miłość. Niektórzy nawet budowali wielkie figury z wikliny i ciernistych gałęzi i podpalali je, by oznaczyć koniec i początek: by zwabić cuda.*

Alice opadła na oparcie swojego krzesła. Oczy miała rozpalone i lepkie. Przycisnęła dłonie do stron nad zdjęciem płonącej postaci z wikliny. Jaki cud zrodzi się z jej ognia? Na początek już nigdy w ich domu nie rozlegnie się odgłos roztrzaskiwanych przedmiotów. Kwaśny odór strachu już nigdy nie wypełni powietrza. Alice będzie uprawiać ogródek warzywny i nie zostanie ukarana, jeśli niechący użyje niewłaściwej łopatk. Będzie się uczyła jeździć na rowerze i nie poczuje, jak ojciec wyrywa jej włosy z głowy, wściekły, że ona nie umie zachować równowagi. Jedyne znaki, które będzie odczytywać, to te na niebie, a nie cienie i chmury przechodzące przez jego twarz, zmieniające się w zależności od tego, czy jest potworem czy też człowiekiem, który przemienił drewno eukaliptusowe w biurko.

Zrobił je po tym, jak wepchnął ją do morza i zostawił, żeby płynęła do brzegu o własnych siłach. Zamknął się w swojej drewnianej szopie i nie wyszedł z niej przez dwa dni. A gdy się z niej wyłonił, ugiął się pod ciężarem biurka o blacie dłuższym niż jego ciało. Zrobił je z kremowych desek cętkowanego eukaliptusa, które odkładał na nową paprociarnię dla żony. Alice kuliła się w kącie swojego pokoju, gdy ojciec mocował biurko do ściany pod parapetem. Jej pokój wypełnił się oszałamiającym zapachem świeżego drewna, oleju i lakieru. Pokazał Alice, jak otworzyć pulpit na mosiężnych zawiasach, by odsłaniać płytki schowek, który aż się prosił o papier, ołówki i książki. Zrobił nawet z gałęzi eukaliptusa podpórkę do podtrzymywania blatu, tak by Alice nie musiała do środka sięgać jedną ręką. „Jak następnym razem pojedę do miasta, Króliczku, przywiozę ci kredki, jakich tylko potrzebujesz”. Alice zarzuciła mu



ręce na szyję. Pachniał mydłem Cussons, potem i terpentyną. „Moja ptaszyna”. Podrapał ją zarostem po policzku. Jej język pokrył się lakierem słów: „Wiedziałam, że jesteś tam w środku. Zostań, proszę”. Ale zdołała powiedzieć tylko „Dziękuję”.

Oczy Alice powędrowały z powrotem na otwartą książkę.

*Ogień to żywioł wymagający tarcia, paliwa i tlenu, aby płonąć.*

*Optymalny ogień potrzebuje optymalnych warunków.*

Podniosła wzrok, spojrzała na ogród. Niewidzialna siła wiatru targała doniczkami adiantum wiszącymi na haczykach. Z wyciem wdzierała się przez wąską szparę uchylonego okna. Alice wzięła kilka głębokich wdechów, napełniając płuca i opróżniając je powoli. „Ogień to żywioł wymagający tarcia, paliwa i tlenu, aby płonąć”. Wpatrzona w zielone serce matczynego ogrodu Alice wiedziała, co musi zrobić.



Gdy ze wschodu nadeszła wichura i zaciągnęła niebo ciemnymi zasłonami, Alice włożyła wiatrówkę i otworzyła tylne drzwi. Toby dreptał przy niej, wplątała palce w jego wełnistą sierść. Zaskamlał i trącił nosem jej brzuch. Uszy położył płasko. Na zewnątrz wiatr odrywał płatki białych róż jej matki i rozrzucał je po obejściu jak spadłe gwiazdy. W oddali, na końcu ich podwórka, stała ciemna bryła zamkniętej na klucz szopy ojca. Alice poklepała się po kieszeniach kurtki, dotykając schowanego tam klucza do szopy. Przez chwilę mobilizowała odwagę, otworzyła tylne drzwi i razem z Tobym wybiegła na wicher.

Alice miała zakaz wchodzenia do szopy, ale mogła bez przeszkód sobie wyobrazić, co się tam znajduje. Na ogół ojciec po powrocie z szopy robił straszne rzeczy. Jakby jej

ściany kryły zaczarowane zwierciadło albo kołowrotek. Gdy była młodsza, raz zebrała się na odwagę i spytała go, co jest w środku. Nie odpowiedział jej, ale po tym jak zrobił biurko, Alice sama zgadła. Czytała o alchemii w książkach z biblioteki; знаła bajkę o Rumpelsztyku. W swojej szopie ojciec przadł ze słomy złoto.

Biegła, aż paliło ją w udach i w płucach. Toby czekał na niebo, dopóki włócznia suchego pioruna nie sprawiła, że podkulił ogon pod siebie. Pod drzwiami szopy Alice wyjęła klucz z kieszeni i wsunęła do kłódki. Nie otworzyła się. Wiatr ciął jej twarz, zbijał z nóg; tylko podparta ciepłym ciałem Toby'ego zachowała równowagę. Spróbowała ponownie. Klucz wbijał się jej w dłoń, gdy się z nim mocowała, chcąc go obrócić. Ani drgnął. W panice ledwie coś widziała. Zrezygnowała, przetarła oczy i odgarnęła włosy z twarzy. I znowu spróbowała. Tym razem klucz obrócił się tak łatwo, jakby zamek tymczasem został naoliwiony. Alice wyszarpnęła kłódkę, nacisnęła klamkę i wtoczyła się do środka, a Toby tuż za nią. Wiatr porwał drzwi i zatrzasnął je za nimi głośno.

W pozbawionej okien szopie panowały egipskie ciemności. Toby warczał. Alice sięgnęła do niego po omacku, żeby go uspokoić. Ogłuszał ją pęd krwi tętniący w uszach i wyjąca wściekle burza. Strąki spadające na dach z drzewa wianowłostki za szopą stukotały niczym tańczące maleńkie pantofelki.

W powietrzu unosił się ostry zapach nafty. Alice macała dokoła, aż jej palce dotknęły lampy na stole. Znała jej kształt, matka miała w domu podobną. Obok leżało pudełko zapalek. W jej głowie ryczał wściekły głos: „Nie powinnaś tu być! Nie powinnaś tu być!”. Alice się skuliła, ale i tak otworzyła pudełko. Wymacała główkę, uderzyła nią o draskę i poczuła zapach siarki, gdy blask ognia wypełnił powietrze. Przytknęła zapalną do knotu lampy naftowej, a potem przykręciła klosz

do podstawy. Światło rozlało się po stole warsztatowym ojca. Przed sobą Alice ujrzała nieodmknętą małą szufladę. Drżącym palcem wysunęła ją bardziej. W środku leżało zdjęcie i coś jeszcze, czego dokładnie nie widziała. Wyjęła odbitkę. Chociaż miała popękane i pożółkłe krawędzie, obraz na niej był wyraźny: wielki, olśniewający dom porośnięty dzikim winem. Alice sięgnęła po drugi przedmiot. Koniuszkami palców musnęła coś miękkiego. Wyjęła to i podniosła do światła: pukiel czarnych włosów przewiązanych wyblakłą wstążeczką.

Potężny podmuch zagrzechotał drzwiami. Alice upuściła pukiel i zdjęcie i zrobiła w tył zwrot. Nikogo nie było. To tylko wiatr. Jej serce już zwalniało, gdy Toby przysiadł na zadzie i znowu zawarczał. Alice, drżąc, podniosła lampę, by oświetlić pozostałą część ojcowskiej szopy. Rozdziawiła usta, kolana jakoś dziwnie jej zmiękły.

Otaczały ją dziesiątki drewnianych rzeźb, od miniatur do posągów naturalnej wielkości, a wszystkie wyobrażały te same dwie postaci. Starsza kobieta przedstawiona w różnych pozach a to wachała liść eukaliptusa, a to doglądała sadzonek, a to leżała na plecach, ręką zakrywając oczy czy wskazując coś w górze, albo w podgarniętym rąbku spódnicy przytrzymywała jakieś dziwne kwiaty. Drugą bohaterką rzeźb była dziewczynka: czytała książkę, pisała przy biurku, zdmuchiwała dmuchawiec. Patrząc na siebie przedstawioną przez ojca, Alice poczuła, jak zaczyna boleć ją głowa.

Kolejne wersje kobiety i dziewczynki wypełniały szopę, sięgając do stołu. Alice oddychała powoli i głęboko, słuchając bicia serca: „Je-stem, je-stem”. Skoro ogień mógł służyć za zaklęcie przemieniające rzeczy, to mógł zmienić też słowa. Alice dość czytała, by wiedzieć, że słowami można zaklinać, zwłaszcza gdy się je powtarza. Powtórz jakieś słowo odpowiednią liczbę razy i ono stanie się ciałem. Skupiła się na zaklęciu bijącym w jej sercu.

Je-stem.

Je-stem.

Je-stem.

Alice krążyła powoli po pomieszczeniu, przyglądając się drewnianym figurkom. Pamiętała, jak czytała kiedyś o złym królu, który przysporzył sobie w królestwie tylu wrogów, że z gliny i kamienia stworzył wojowników, by go otaczali – tylko że glina to nie ciało, a kamień nie jest sercem ani krwią. Wieśniacy, przed którymi król chciał się uchronić, wykorzystali ostatecznie stworzonych przez niego wojów, by go zmiażdżyć, gdy spał. Dreszcze przebiegały Alice po plecach, gdy wspominała słowa, które przeczytała wcześniej: „Ogień wymaga tarcia, paliwa i tlenu, aby płonąć”.

– Spokojnie, Tobes – powiedziała w pośpiechu, sięgając po jedną drewnianą figurkę, potem po drugą. Naśladując nieznaną kobietę, podgarnęła tiszert, żeby przenieść w nim najmniejsze znalezione rzeźby. Toby marudził u jej boku. Serce Alice mocno uderzało o żebra. Przy takiej liczbie posągów ojciec na pewno nie zauważył braku najmniejszych. Doskonale się nadadzą do ćwiczeń z ogniem.

Alice na zawsze zapamięta tamten dzień jako czas, który nieodwołalnie zmienił jej życie, chociaż przez następne dwadzieścia lat będzie starała się zrozumieć, co wówczas się wydarzyło: życie toczy się do przodu, a rozumiemy je, tylko patrząc wstecz. Jeśli chcesz zobaczyć obraz, nie możesz stanąć jego elementu.



Ojciec Alice zajechał pod dom, w milczeniu ściskając kierownicę. Na twarzy jego żony nabrzmiewały ślady po uderzeniu, ostrożnie dotykała ich dłońią. Drugą trzymała na brzuchu, wtulając się w drzwi od strony pasażera. Na własne

oczy widział, w jaki sposób dotknęła ręki lekarza. Widział, jak spjrzał ten lekarz. Widział. Skóra pod prawym okiem ojca Alice drgała nerwowo. Jego żonie zakręciło się w głowie, gdy usiadła po wykonaniu USG; wcześniej on nie chciał zajechać po śniadanie i ryzykować, że się spóźni na wizytę. Ona się zachwiała. Lekarz jej pomógł.

Ojciec Alice napiął rękę. Jeszcze bolały go kłykcie. Obejrzał się na żonę, która zwinęła się w kłębek, tworząc przepaść między nimi. Chciał sięgnąć do niej, wytłumaczyć, że po prostu musi bardziej uważać na swoje zachowanie, tak żeby go nie prowokować. Gdyby przemówił do niej kwiatami, może by zrozumiała. Rosiczka dwudzielna – umrę opuszczony. Krzewiasta fuksja różnobarwna – uleczenie i ulga. Krzew weselny – stałość. Ale nie dawał jej kwiatów od lat, odkąd opuścili Thornfield.

Zawiodła go dzisiaj. Powinna była znaleźć czas, żeby spakować sobie śniadanie przed wyjazdem, wtedy by się jej nie zakręciło w głowie i on by nie patrzył, jak jego żona dotyka lekarza. Wiedziała przecież, jak jej mąż trudno znosi wyjazdy do szpitala, gdy ci wszyscy ludzie dotykali jej gdzie popadnie. Gdyby nie jeździli na badania w czasie tej ciąży ani w czasie tamtej, z Alice, obyłoby się bez wypadków. Czy to jego wina, że ona go nie wspiera? Nigdy, po prostu nigdy!

– Dojechalśmy – powiedział, zaciągając ręczny i wyłączając silnik. Żona oderwała rękę od twarzy i sięgnęła do klamki. Pociągnęła ją i czekała. Zagotowało się w nim. Nic nie powie? Odblokował zamek centralny, oczekując, że ona się odwróci i uśmiechnie do niego z wdzięcznością, a może przepraszająco. Tymczasem wyskoczyła z szoferki jak kurczak umykający z kojca. Wypadł z ciężarówki, zawołał ją, ale wicher go zagłuszył. Skrzywił się w smagającym twarz podmuchu i ruszył za żoną, żeby jej wyjaśnić, o co mu chodzi. Już zbliżał się do domu, gdy coś przyciągnęło jego wzrok.

Drzwi do szopy były otwarte. Kłódka zwisiała ze skobła. W środku błysnęła czerwona wiatrówka córki.



Gdy w tiszercie nie mieściło się już więcej figurek, Alice wybiegła z szopy w półmrok. Trzask pioruna rozdarł niebo. Był tak głośny, że Alice upuściła zdobycz i przycupnęła pod drzwiami. Toby się skulił, sierść na grzbiecie mu się zjeżyła. Sięgnęła do niego, żeby go pocieszyć i przyciągnąć do siebie, ale uderzył w nią podmuch tak silny, że aż zatoczyła się do tyłu. Zapominając o figurkach, dała znak Toby'emu i puściła się biegiem do domu. Już byli przy drzwiach kuchennych, gdy kierująca się ku ziemi błyskawica rozdarła ciemne chmury na srebrzyste odpryski. Alice zamarła. W tym białym świetle ujrzała ojca. Stał w wejściu z rękami wzdłuż boków, miał zacisnięte pięści. Nie potrzebowała lepszego światła, nie musiała podchodzić bliżej, żeby dostrzec znajomy mrok w jego oczach.

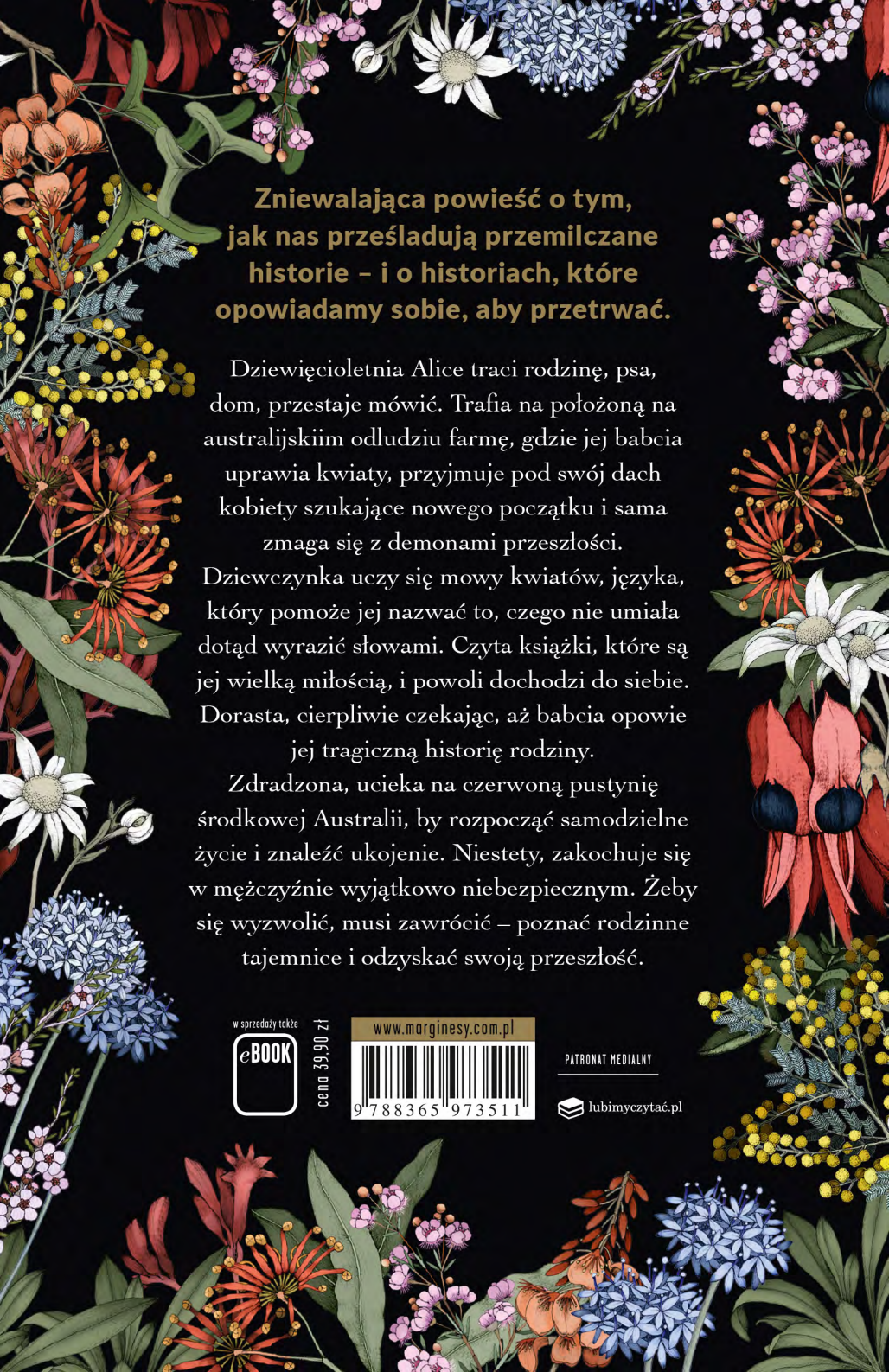
Zmieniła kierunek i biegiem ruszyła dokoła domu. Nie była pewna, czy ojciec ją widział. Gdy biegła przez zielone liście paprociowego ogrodu matki, uderzyła ją straszliwa myśl: lampa naftowa w szopie ojca. Drewnianej szopie. Zapomniała zdmuchnąć płomień.

Alice wskoczyła przez okno, dalej na biurko i wciągnęła za sobą psa. Przysiedli oboje, dysząc. Toby polizał ją po twarzy, Alice zaś poklepała go na oslep. Czyżby poczuła dym? Ogarzył ją strach. Zeskoczyła z biurka, zebrała książki z biblioteki, wepchnęła je do torby i wcisnęła głęboko do szafki. Zerwała z siebie kurtkę i też ją tam wepchnęła, a potem zamknęła okno. „Ktoś musiał się włamać do szopy, tatusiu. Ja czekałam na was w domu”.

Nie usłyszała, jak ojciec wszedł do jej pokoju. Nie zdążyła się uchylić. Ostatnie, co zobaczyła, to Toby obnażający kły



i jego oczy dzikie od strachu. W powietrzu unosił się zapach dymu, ziemi i płonących piór. Piekący ból rozlał się po policzku Alice, wciągając ją w ciemność.



**Zniewalająca powieść o tym,  
jak nas prześladowają przemilczane  
historie – i o historiach, które  
opowiadamy sobie, aby przetrwać.**

Dziewięcioletnia Alice traci rodzinę, psa, dom, przestaje mówić. Trafia na położoną na australijskim odludziu farmę, gdzie jej babcia uprawia kwiaty, przyjmuje pod swój dach kobiety szukające nowego początku i sama zмага się z demonami przeszłości.

Dziewczynka uczy się mowy kwiatów, języka, który pomoże jej nazwać to, czego nie umiała dotąd wyrazić słowami. Czyta książki, które są jej wielką miłością, i powoli dochodzi do siebie. Dorasta, cierpliwie czekając, aż babcia opowie jej tragiczną historię rodziny.

Zdradzona, ucieka na czerwoną pustynię środkowej Australii, by rozpocząć samodzielne życie i znaleźć ukojenie. Niestety, zakochuje się w mężczyźnie wyjątkowo niebezpiecznym. Żeby się wyzwolić, musi zawrócić – poznać rodzinne tajemnice i odzyskać swoją przeszłość.

w sprzedaży także


eBOOK

cena 39,90 zł

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



PATRONAT MEDIALNY

 [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)